

Moja wielka przygoda

Sezon wiosenno-letni roku 1955 był dla mnie pechowy. Zaczęłam trenować wyczynowe latanie szybowcowe, kosztem studiów na Wydziale Lotniczym Politechniki Warszawskiej. Przestałam chodzić na wykłady, większość czasu spędzając na lotnisku. Podejmowałam próby bicia różnych rekordów, ale w szybownictwie oprócz talentu i umiejętności decyduje też szczęście do pogody.

Tak „zawaliłam” studia, egzaminy musiałam odłożyć na wrzesień, a wyniki mojego latania były skromne. A to, co mi się przydarzyło podczas Szybowcowych Mistrzostw Polski w Lisich Kątach, można potraktować tylko jako klęskę.

Niektórzy mówili, że miałam szczęście, uchodząc z życiem. Podjęłam błędną decyzję, weszłam w chmurę burzową, a szybowiec nie wytrzymał przeciążeń, na jakie go naraziłam. Na szczęście rozsypał się, gdy wprawdzie nic już nie widziałam, bo krew odpłynęła z głowy, ale nadal zachowałam świadomość. Mistrzostw nie ukończyłam, a ból pleców, wynik lądowania na targanym wicherą, mokrym ratowniczym spadochronie, pozostał.

Zbliżał się wrzesień, a bolące plecy utrudniały przygotowywanie się do egzaminów.

Toteż gdy pewnego dnia tuż po moim powrocie do domu na Żoliborzu matka powiedziała, że dzwonił z Aeroklubu porucznik Jankowski, nie zwróciłam na to szczególnej uwagi.

– I co, czego chciał? – burknęłam ponuro.

– Prosił, żebyś przyszła do niego – powiedziała matka z nietypowym dla niej optymizmem – Mówił coś o wyjeździe grupy szybowców do Indii...

Wzruszyłam ramionami. Moja pozycja w szybowcowym świecie była nieco zachwiana, a możliwość uzyskania zgody na wyjazd za granicę przekreślał fakt posiadania ojca na emigracji. Taka „antysocjalistyczna” plama na życiorysie stawiała mnie w grupie podejrzanych. O co? To już była kwestia interpretacji służb PRL. Fakt, że udało mi się dostać na studia i to, że nie skreślono mnie z listy pilotów, należało uznać za wielki sukces, a może łut szczęścia.

Następnego dnia stawiałam się jednak w siedzibie Aeroklubu PRL na Krakowskim Przedmieściu 55.

– Pani Wando – oznajmił porucznik Jankowski, sympatyczny i życzliwy człowiek – powierzono mi skompletowanie ekipy szybowców, którzy pojedą do Indii, by zademonstrować nasze szybowce. Pani jest na tej liście – dodał z naciskiem.

Formalności miały być załatwiane centralnie. Wypełniłam formularz paszportowy. W rubryce o rodzicach wpisałam jak zwykle „inteligencja pracująca”. Na tym na razie się skończyło. Usiłowałam

przygotowywać się do egzaminów, ale szło mi to opornie.

O Indiach wiedziałam mało – że ten biedny kraj dopiero kilka lat temu odzyskał niepodległość, a przedtem był kolonią brytyjską. W gazetach przeczytałam, że premier Indii, Jawaharlal Nehru, w polityce wewnętrznej wysuwał program „budowy społeczeństwa socjalistycznego” i prowadził „gospodarkę planową opierając się na doświadczeniach państw socjalistycznych”. Dla mnie oznaczało to przynależność do strefy wpływów Związku Radzieckiego. Jednak z mapy wynikało, że to olbrzymi kraj z dala od ZSSR. Przypomniłam też sobie opowieści o Gandhim i jego walce bez użycia przemocy. A to zupełnie nie pasowało do ustroju socjalistycznego.

Pewnego dnia spotkałam na ulicy Maksy, która też była w owej tajemniczej ekipie szybowcowej. Już na wstępie zasypała mnie gradem wiadomości:

– Czy wiesz, że chłopaki już wyjechały? Staszek i Edek, i Julek, ten z Krakowa. I nasz najlepszy mechanik, Staś – mówiła – Za pomysłem stoi nasz ambasador. Podobno przed wojną latał na szybowcach.

Zaczęło mi coś świtać w głowie. – To może być rodzaj akcji, która ma rozpropagować Polskę jako kraj mający wielkie osiągnięcia w szybownictwie. No tak, ale pokazy mogą obyć się bez dziewczyn. Trzeba brać się do roboty, a nie bujać w obłokach.

Wielka podróż

Aż tu nagle dostałam wezwanie na szczepienia przeciwko chorobom tropikalnym. W Stacji Chorób Tropikalnych znów spotkałam Maksy.

– Chłopaki piszą, że na pewno my też pojedziemy, bo ambasador się uparł, żeby były również dziewczyny – mówiła – Bo tam nie ma pilotek i w ogóle kobiety mają mało do gadania.

– Aha – zaczęło mi się układać w głowie – propaganda emancypacji kobiet w ustroju socjalistycznym! To trzyma się kupy! Ale wystarczy, że pojedzie jedna. A Maksy ma „dobre pochodzenie”, bez obciążeń klasowych. Co innego ja, jak władze dokończą się do mojego ojca, to koniec.

Po kilku dniach znów zadzwonił porucznik Jankowski:

– Dwaj panowie będą chcieli z panią porozmawiać. Zapewne umówią się z panią w kawiarni. – W tonacji jego głosu wyczytałam intuicyjnie, jakby powiedział „Proszę się nie przejmować, to tylko formalność”.

– Skoro nie wzywają mnie do pałacu Mostowskich, a do kawiarni, to już dobrze – powiedziałam do siebie.

Byli młodzi, ubrani w eleganckie garnitury i zachowywali się wytwornie. Weszliśmy na piętro luksusowej kawiarni pod arkadami MDM.

– Herbata, ciastko? – zapytali. Wybrałam olbrzymi sernik krakowski z rodzynkami.

– Chcemy panią ostrzec przed niebezpieczeństwami – zaczęli – za granicą może się panią interesować obcy wywiad. Mogą zastawić pułapkę, a jak człowiek raz wpadnie w ich sidła...

Ale „człowiek”, zorientowawszy się, że nie mówi nic o ojcu na emigracji, zajadał ze smakiem sernik i knuł podstęp.

– Ale co ja właściwie mogłabym „wyszpiewować”? Bo o tym, że pod Radomiem jest duże polskie lotnisko wojskowe, a w Brzegu – radzieckie, to oni wiedzą lepiej, niż ja. A mapy? Przecież my, szybownicy, dostajemy mapy dawno wycofane, a oni mają na pewno najnowsze!

Panowie w garniturach mieli niewyraźne miny i drugiego ciastka już mi nie postawili.

W domu zreferowałam matce rozmowę.

– No, no – powiedziała, podnosząc oczy znad książki. Nagle wstała i podeszła do biurka, wygrzebuując coś z szuflady.

– Jagoda – powiedziała uroczystym tonem (w domu zawsze byłam Jagodą; w metryce miałam imiona Wanda, Jadwiga, bo takie miały córki Józefa Piłsudskiego) – tu jest adres ojca w Londynie. Jak znajdziesz się poza „żelazną kurtyną”, będziesz mogła napisać do niego szczerą list, a i on napisze prawdę o całej sytuacji. To bardzo ważne. Dla całej rodziny.

Zanotowałam sobie ten adres, dyskretnie i w formie nieco zaszyfrowanej. Rzeczywiście, dotąd o tym nie pomyślałam. „Prawdziwy” list do ojca i jego „prawdziwa” odpowiedź, nie obarczona obawami o cenzurę...

W końcu października sytuacja wyjaśniła się ostatecznie. Pożyczyłam od kuzyna aparat fotograficzny 6x9. Do tekturowej walizeczki spakowałam trochę letnich rzeczy – w Indiach będzie przecież gorąco. Na siebie założyłam skórzaną kurtkę, którą dostałam jako nagrodę w Międzynarodowych Zawodach Szybowniczych w 1954 roku w Lesznie.

Z paszportem i walizką stawiałam się na lotnisku Okęcie. Tam zastałam Maksi i pracowników „Motoimportu”, którzy wręczyli nam bilety.

Wkrótce potem znalazłyśmy się w lecącym do Wiednia DC-3 PLL LOT. Po raz pierwszy leciałam w roli pasażera! Pod chmurami rzucało straszliwie, czułam się paskudnie, ale jakoś wytrzymałam. Skok nad Tatrami, śniadanko podane przez stewardesy. Znowu góry, jakieś duże miasto. To widocznie Wiedeń.

Nie do wiary, ja, córka emigranta politycznego, w dwa lata po śmierci Stalina znalazłam się za granicą!

Na lotnisku przesiadłyśmy się do samolotu do Rzymu. Wysoko nad Alpami idealny błękit nieba, żadnych podmuchów, cudowne widoki. Wygodne fotele, luksus, wszystko jak w bajce. I znów posiłek, sok pomarańczowy – co za smakołyk!

W Rzymie pracownicy ambasady wiozą nas do hotelu na Piazza Fiammetta, gdzie zostaniemy do następnego wieczora – mamy dzień na zwiedzenie miasta. Studiuje plan Rzymu i po śniadaniu wyruszamy przed siebie. Przede wszystkim – do Zamku Świętego Anioła, gdzie rozgrywał się ostatni akt „Toski” Giacomo Pucciniego. Jak się dostać do środka i zobaczyć dziedziniec, gdzie o świcie odbyła się egzekucja Mario Cavaradossiego i samobójstwo Toski? Nie ma sposobu. Ruszamy więc dalej, na plac Świętego Piotra, czyli do Watykanu. Ciągle mam wrażenie, że to wszystko jest tylko snem.

Na lotnisku okazało się, że samolot angielskich linii BOAC leci przez Cypr, a tam osobom z krajów socjalistycznych potrzebne są wizy. Zdałam sobie sprawę, że restrykcje związane z istnieniem „żelaznej kurtyny” mają zasięg międzynarodowy... Dzięki temu przedłużył się nam jednak pobyt w Rzymie, więc następnego dnia znów biegałyśmy po Kapitolu, Forum Romanum i Koloseum. A wieczorem poleciałyśmy czterosilnikowym *Super-Constellation* Indyjskich Linii Lotniczych. Komfort, elegancja.

Spałyśmy aż do Kairu, gdzie z przyczyn technicznych odlot odłożono o kilka godzin, wobec czego zawieziono nas do piramid, tych najstynniejszych. W Bombaju lądowaliśmy o 20:30 naszego czasu, a według ich czasu o 1:00. No tak, przecież lecieliśmy na wschód. Pierwsze wrażenie było okropne. Gorąco, smród i dziesiątki ludzi śpiących na chodnikach.

W relacji pisanej do matki dalszy ciąg podróży przedstawiał się następująco:

„W hotelu byłyśmy tylko 3 godziny i znowu nie mogłyśmy się dogadać. I wyobraź sobie, jedziemy autobusem na lotnisko, a tu ktoś odzywa się po polsku: „a skąd panie są?” O mało nie rzuciłyśmy się mu na szyję. Dalej już podróżowałyśmy bez kłopotów i po 2,5 godziny zobaczyłyśmy Delhi. Na lotnisku czekał już nas pracownik Motoimportu i zawiózł nas do niewielkiego hoteliku na przedmieściach, zamieszkałego wyłącznie przez Polaków pracujących przy organizowaniu międzynarodowych targów.”

Tadž Mahal i pierwszy list

W hotelu w New Delhi męska część ekipy powitała nas z entuzjazmem. Najgłośniejszym brzmiał głos Julka Nowotarskiego, studenta Akademii Sztuk Pla-

stycznych w Krakowie, najpoważniej brzmiał głos Edka Makuli, a najwolniej wypowiadał swe słowa Staszek Skrzydlewski. Tylko mechanik, Stanisław Wieczorek, w milczeniu patrzył na swych klubowych przyjaciół.

Szefem naszej ekipy został jednogłośnie wybrany Staszek. Nie tylko dlatego, że był z nas najstarszy. Staszek był „naj” pod każdym względem. Miał najbardziej pogodny uśmiech, jaki zdarzyło mi się spotkać i tylko on mógł swą pogodą ducha zniewolić serca ludzi, którzy nie mieli wobec nas żadnych zobowiązań. Był też najlepszym negocjatorem.

Szybowców wciąż nie było, podobno były na morzu Arabskim, a przecież z Bombaju musiały jeszcze przejechać parę tysięcy kilometrów pociągiem.

Indyjscy przyjaciele z Flying Clubu postanowili pokazać nam słynny Tadž Mahal w mieście Agra. Dotarliśmy tam, gdy było już ciemno. Najpierw uraczono nas hinduską kolacją, potem zaprowadzono do hoteliku. Mieliśmy się tam przespać parę godzin, bo zwiedzanie miało się odbyć o północy. O spaniu jednak nie było mowy. Było duszno, no i to oczekiwanie – dlaczego właśnie o północy?

Wreszcie ciche pukanie do drzwi. Wsiadamy do samochodów i... nagle znajdujemy się w zaczarowanym miejscu. Niebo usiane gwiazdami i blask księżycy w pełni. Olbrzymia, ozdobiona ornamentami budowla z białego marmuru o niezwykle szlachetnych proporcjach ze wspianą lśniącą kopułą jawiła się nam jako prawdziwy cud świata. Staliśmy w milczeniu. Czy jesteśmy na tej samej Ziemi, na której gdzieś daleko jest zrujnowana Warszawa?

– To jest grobowiec małżonki władcy Indii Szah-dzaha, Mumtaz Mahal, dzieło sztuki muzułmańskiej z siedemnastego wieku... – objaśnienia przewodnika dochodziły do mnie jakby z innego świata.

Następnego dnia znaleźliśmy się w tym samym miejscu – jednak jakże innym. Istotnie, Tadž Mahal trzeba oglądać przy pełni księżycy... W świetle słońca była to już zupełnie inna budowla. Piękna, ale tylko piękna.

Nadszedł czas, by napisać listu do Londynu. Pierwszy prawdziwy, nie podlegający cenzurze. Ojca pamiętałam z wczesnego dzieciństwa, a pewnie i on wciąż wyobrażał sobie mnie jako małą dziewczynkę. A tymczasem, po szesnastu latach... A tylko teraz, gdy znalazłam się poza „żelazną kurtyną”, istniała szansa na szczerą odpowiedź.

Potrzebna mi była chwila spokoju i skupienia. A czas gonił, bo szybowce miały dotrzeć do Delhi lada dzień. Toteż, gdy pewnego popołudnia cała ekipa wybrała się na hinduski film, zostałam w hotelu.

Usiadłam przy stoliku, położyłam przed sobą pióro i blok formatu A4. Za oknem maszerowały wielbłądy przebierając z wolna długimi nogami. Przed małą lepianką stała kobieta w kolorowej szacie,

trzymając na rękach niemowlę. Nikt się nie spieszył, wszyscy poruszali się wolno, wolniutko.

– Czas płynie tu chyba wolniej, niż u nas – snuło mi się po głowie – może wskazówki zegarów obracają się tu inaczej?

I nagle zdało mi się, że te wskazówki odwróciły kierunek biegu i przeniosły mnie kilkanaście lat wstecz. Zobaczyłam ojca pochylonego przy biurku w świetle lampy z podłużnym zielonym abażurem. Zdawał się być całkowicie pochłonięty pisaniem. Lecz gdy córeczka podeszła do niego i, pokazując mu trzymaną w rękach robótkę, wyszeptała: – Batku, dlaczego to mi się nie udało? – przerwał natychmiast i z uwagą spojrzął na trzymany przez nią kawałek materiału.

– Jagusiu – powiedział z serdecznością – Tylko troszkę ci się nie udało, ale i tak ten kubraczek dla misia jest bardzo ładny. Spróbuj jeszcze raz, za drugim razem będzie jeszcze piękniejszy.

Dziewczynka z warkoczykami wróciła do pokoju i podniesiona na duchu słowami ojca zabrała się do udoskonalenia swego dzieła.

Wzięłam do ręki pióro i napisałam pierwsze słowa:

„Kochany Batku...”

Skąd się wzięła ta forma zwracania się do ojca, nie pamiętał nikt. Ale byłam pewna – to był mój pomysł, zaklęte w bajkową formę uczucie do jedynej człowieka, który traktował z całą powagą dziecinne troski i problemy. I potrafił zaszczepić we mnie wiarę w siebie, niezachwianą pewność, że praca zawsze przyniesie oczekiwane rezultaty.

Dalsze słowa mojego pierwszego po latach listu popłynęły swobodnie, bez obaw, że mnie nie zrozumie, bo jestem już dorosła:

„Wyobraź sobie, że jestem teraz w hotelu w New Delhi, w dalekich Indiach, i piszę ten list bez obaw, że ktokolwiek go otworzy, by go ocenzurować. Znalazłam się przecież poza kręgiem „żelaznej kurtyny”! Jak to się stało, że mnie wypuszczono, tego nie wiem, może to jakieś niedopatrzenie ze strony SB, a może początek zmian politycznych całego naszego wschodniego świata oddanego po wojnie w niewolę Stalinowi. Może naprawdę, teraz, ponad dwa lata po jego śmierci zaczną się zmiany, które i tobie pozwolą odmienić życie? Batku, tak za tobą tęskniłam, tak wierzyłam, wtedy, zaraz po wojnie, że wrócisz do nas. Że znowu będzie jak dawniej.”

Wspomnienia z dzieciństwa, tęsknota za nieobecnym, lecz nie zapomnianym, wzruszenie – kazały mojemu pióru gnać coraz prędzej, niemal bez mej woli. Potok myśli napierał, gonił, nie pozwalał spocząć...

Włożyłam gruby plik papieru do koperty, zaadresowałam „Hardswood 11, London, England”, zaklepałam i wrzuciłam do skrzynki.

Akrobacja i dyplomacja

Następnego dnia Rangan czekał na nas na lotnisku. Podbiegł do samochodu, krzyząc:

– Już są, zaraz je przywiozą!

Nie mieliśmy wątpliwości, że mówi o szybowcach. Rzuciliśmy się do otwierania skrzyń i montowania szybowców. Nad wszystkim czuwał pan Stanisław, pamiętał o każdym szczególe, za wszystko czuł się odpowiedzialny.

Wreszcie po południu stanęliśmy wszyscy wokół gotowej do lotu *Jaskółki*.

– Kto chce ją oblatać? – zapytał Staszek.

– Ja, to szybowiec z mojego Aeroklubu – zgłosił się Julek.

Zespół wzniósł się w powietrze. Patrzyliśmy w górę z uwagą, ale bez obaw. Julek miał zacząć od kilku pętli, bo ta figura, poddając konstrukcję szybowca niezbędnemu przy jego oblatywaniu dodatkowemu obciążeniu, jest jednocześnie w pełni kontrolowana i w razie czego pozwala łatwo ratować się na spadochronie.

– Rozpędza – Staszek wpatrywał się w małą sylwetkę szybowca.

Teraz powinien ściągnąć drążek, przejść przez pozycję odwróconą do lotu nurkowego i wyrównać do poziomu. Ale *Jaskółka* zaraz opuściła nos, wykonując tylko niewielką górkę.

Coś było nie w porządku, Julek był zbyt doświadczonym pilotem, by wystraszyć się byle czym. Schodził w dół delikatnie, jakby się bał, że szybowiec się rozsypie.

Gdy po wylądowaniu dobiegliśmy do niego, był bardzo blady.

– Trzeszczy – powiedział tylko – trzeszczy...

Oglądaliśmy *Jaskółkę* ze wszystkich stron, pan Stanisław wyginał skrzydła, sprawdzał zabezpieczenie sworzni. Był bardzo zdenerwowany. Bo trzeszczenie drewnianej konstrukcji zapowiada jej zniszczenie. Ale dlaczego? Co robić?

– Ja polecę – zgłosił się Edek – trzeba spróbować jeszcze raz.

Nabieranie wysokości trwało długo. Wreszcie Edek rozpędził *Jaskółkę* i wykonał pętlę. Potem drugą i trzecią. Dalej był korkociąg, ranwersy i cały ciąg figur o coraz większym współczynniku obciążenia. Ostatni ranwers i *Jaskółka* zatrzymała się koło nas.

– Już się wytrzeszczała – oznajmił krótko Edek. Taki był.

Mieliśmy do czynienia z nieznanym dotąd zjawiskiem. Podejrzewaliśmy, że to efekt długiej podróży i wysuszenia drewnianej konstrukcji, która znalazła się w zupełnie innym klimacie.

Edek oblatął tak wszystkie szybowce. Gdyby nie on, nie wiem, jaki byłby dalszy ciąg naszej „wielkiej przygody”. Wsiadając do *Muchy 100*, nie miałam wątpliwości, że wszystko jest w porządku.

Gdy na lotnisku pojawił się ambasador, plan pokazów był zapięty na ostatni guzik. Staszek sporządził nawet grafik, na którym co do sekundy podane były czasy rozpoczęcia i zakończenia każdego „numeru”.

– Musimy mieć trzech holowników – oświadczył stanowczo Staszek. Staliśmy przy nim potakując głowami. Dla nas było to jasne, teraz musiało stać się jasne także dla głównego organizatora.

Przylecieli dwa dni przed pokazami, podczas których na trybunie miał zasiąść sam premier Nehru. Ale tylko dwaj – piloci wojskowi, na dwóch *Tiger Mothach*. Trzeci przyleciał w przeddzień imprezy. Nigdy nawet nie widzieli szybowców. Na ich przeszkolenie mieliśmy jeden dzień.

Gdy w dniu pokazów o 6 rano przyjechaliśmy pod hangar, niebo lśniło błękitem, a lotnisko było jeszcze puste. Byliśmy lekko podminowani, a Staszek Wieczorek biegał koło szybowców, jakby go bies opętał. Na trawie przed trybuną położyliśmy jedną z naszych *Jaskółek* całkowicie zdemontowaną – kadłub, skrzydła i stateczniki poziome osobno. To miał być pierwszy numer naszego programu – lot pikowy na szybowcu zmontowanym na oczach widzów.

O 8:30 trybuna zaczęła się stopniowo zapełniać. Gdy nadjechała limuzyna premiera Nehru, stanęliśmy w szeregu. Białe orły na czerwonych tarczach – dzieło Julka – tkwią dumnie na naszych piersiach. Premier podchodzi do rozmontowanej *Jaskółki* – po trzech minutach szybowiec jest gotowy.

Z czoła Stasia Wieczorka leje się pot. Nie z upału, lecz ze zdenerwowania. To on jest odpowiedzialny za prawidłowy montaż, za życie pilota. Takiego numeru jeszcze nikt nigdy na pokazywał! Jestem pewna, że to pomysł Edka, bo to właśnie on za chwilę w locie nurkowym z 800 metrów rozpędzi szybowiec do maksymalnej dopuszczalnej prędkości, przeleci tuż przed trybunami i wywinie wspaniałe ranwersy.

Ranwersu nie widziałam, gdyż siedziałam już wtedy za sterami *Muchy 100*. Z góry zobaczyłam, jak szeroki jest opasujący lotnisko pierścień ludzi. Pilot holujący, ten, co przyleciał dopiero wczoraj, naprowadził mnie idealnie. Gdy podawaliśmy mu prędkość, sposób najścia na lotnisko oraz czasy startu i wyczepienia, odpowiadał „Oh, I see”, przeżabawnie kręcąc głową, że wszystko rozumie. I rozumiał.

Mój numer był prosty, ale efektowny. Na zakończenie siedem pętli, jedna za drugą, ostatnia na 150 metrach. Potem przelot przed trybuną i ranwers, którego nauczyłam się od Edka. Po wylądowaniu biegnę na drugi koniec lotniska, by tam usiąść w drugiej kabinie *Bociana*. Dociągam pasy, gdyż za

chwile Edek będzie mocować się z drążkiem, a mnie oczy będą wyłazić na wierzch w czasie lotu plecowego. Ale to wynikało z harmonogramu, więc nie mogłam obejrzeć pełnej akrobacji odwróconej w wykonaniu Maksi.

Ładujemy dokładnie przed trybuną, na której nie milkną oklaski. W powietrzu są jeszcze Julek i Staszek, którzy na *Jaskółkach* wykonują akrobację zespołową. To ostatni numer pokazów. Przy akompaniamencie braw z trybuny zszedł premier Nehru, ubrany w długi żakiet, białe spodnie i białą czapkę. Stoimy z Edkiem nieruchomo. Ambasador podchodzi do mnie i powiada:

– Premier wsiądzie do przedniej kabiny, a pani będzie pilotować *Bociana*. Tylko bez akrobacji! – zaznaczył. Zbaraniałam, ale tylko na moment.

Pierwsza myśl – czy jest możliwość sabotażu? Nie – szybowca nikt obcy go nie dotykał. Gdyby holownik miał jakieś wrogie plany, zdąży się wyczepić i wylądować na wprost...

Patrzę, jak zakładają premierowi spadochron i wskazują pierwsząabinę. Widzę jego wahanie. Pokazuję mu, że przyrządy i stery są również z tyłu. Kiwa głową i pod obstrzałem fotoreporterów spokojnie wsiada do kabiny.

– Po co narażać życie tak ważnej dla kraju osoby, wysyłając ją na lot z chudą, dwudziestotrzyletnią, obcą dziewczyniną? – płacze mi się w głowie.

Startujemy z betonki. Spokojnie nabieramy wysokości. Premier wskazuje przyrządy – ten wskazuje wysokość? A a ten wznoszenie i opadanie? Potwierdzam i objaśniam przeznaczenie pozostałych.

Wznosimy się w spokojnym powietrzu. Wokół horyzontu zarysowuje się fioletowa wstęga inwersji, spod której wyłania się miasto. Inne od naszych, jak wszystko w Indiach. Zwarta biała plama przylegająca do rzeki – to Stare Delhi. Ogromny obszar zieleni, poprzetykany białymi punktami – to nowe, rzeczywiście nowoczesne miasto. Przecina je długa, szeroka, centralna oś. Prowadzi do serca Delhi – gmachów parlamentu i siedziby rządu, nad którymi dopiero od siedmiu lat powiewa indyjska flaga. Miałam wrażenie, że wzrok premiera zatrzymuje się tam dłużej. Wychylając się na boki i wyciągając ręce przez otwarte okienka kabiny, przyglądał się swemu miastu, jego dumie. Na 400 metrach pociągam za wyczep. W spokojnym powietrzu wywijam łagodne zakręty. Wsluchując się w cichy szum szybowca pomyślałam, że właśnie taki lot może odkryć memu dostojnemu pasażerowi urok tego „bezsmerowego” latania.

Krażymy nad trybuną. Wszystkie twarze zwrócone są w naszą stronę. Co oni tam czują? I co czuje córka premiera, Indira Gandhi, która była przeciwna temu lotowi? Widać, jak ludzie machają rękami,

modląc się zapewne o szczęśliwy powrót na ziemię swego przywódcy.

Za chwilę *Bocian* dotyka łagodnie betonki, tuż przed trybuną. W naszą stronę pędzi reporter. Otacza nas grono osób towarzyszących premierowi i ludzi z polskiej ambasady. Premier mówi parę słów do mikrofonu – wyraża zadowolenie i podziękowanie. W chwilę potem *Bocian* staje się własnością Indii.

Do hotelu wróciliśmy późno. W recepcji ciemnoskóra dziewczyna wręczyła mi gruby list w bładniebieskiej kopercie, wypchany tak, że ledwo dał się zakleić. To był list od ojca.

– Wanda, szybko do jadalni, drugi raz już nam nie podgrzeją – usłyszałam głos Maksi. Szybko pochłonięłam trzydaniową kolację – cały dzień nie miałam nic ustach. Gdy zaczynałam czytanie listu, byłam spokojna i gotowa przyjąć wszystko w nastroju optymizmu.

A przecież bałam się, po tylu latach, po ciężkich przeżyciach wojennych, a dla niego pewnie jeszcze gorszych powojennych, gdy okazało się, że nie może wrócić... Bałam się, jak przyjął mój list i jaka będzie jego reakcja.

„Kochana Jagusiu, twój list bardzo mnie ucieszył. Przez tyle lat nie mogłem ich dostawać! Zakrojona na wielką skalę ofensywa przeciw emigracji politycznej, jako zjawisku niewygodnemu, nie pozwalała na swobodę korespondencji, ale stwarzała ich pozory. Teraz piszę do ciebie swobodnie, zakładając, że, ponieważ jesteś w Indiach, list nie przechodzi przez cenzurę. Na kopertach przychodzących z Polski widać wyraźnie, że były odklejane. Ja nie mam nawet stuprocentowej pewności, że ktoś nie będzie od ciebie wymagał, byś mu pokazała mój list. Nie mam żadnego zaufania do świata, w którym żyjesz. Studiowałem go od dawna i głęboko.”

Zaraz za tym pojawiły się słowa, na które czekałam:

„To jest ciekawe zadanie – pisać do dorosłej kobiety, którą się pamięta tylko jako dziecko. Na moim stole stoi w ramce fotografia. Ja siedzę pod drzewkiem w parku na Żoliborzu, obok mnie stoi Hania (rok 1936, ostatnia jej fotografia), a ty siedzisz na moich kolanach. (...) Mam wiele wspomnień o tobie – wszystkie miłe i przyjemne...”

Najtrudniej było wciągnąć się w sprawy, zaliczane przez ojca do „politycznych”. Postawiłam przed sobą zadanie zrozumienia go, jego argumentów, uczuć i meandrów osobowości.

„Jest jedna wielka przeszkoda na drodze naszego porozumienia się, dlaczego ja nie chcę wracać. Poczynając od niemieckiej okupacji, rosłaś w warunkach ograniczeń praw i swobody ludzkiej jednostki. Wierzę, że jest tych ograniczeń w Polsce mniej, niż było dotąd, ale jest ich o wiele za dużo na mój gust i

moje przyzwyczajenia. Ty po prostu nie wiesz, co to znaczy prawdziwa swoboda. Ja żyję akurat w kraju, gdzie swobody jednostki są chyba większe, niż gdziekolwiek indziej.”

„Pisziesz o zrobieniu «tego mądrego kroku» i bym wrócił do Polski zamiast «wegetować na mglistej wyspie». Nie możesz znać mego charakteru i usposobienia. Ja mam sztywny kark.”

„Wedle mego przekonania Polska nie jest krajem niepodległym. Wrócę, jak będzie niepodległa, albo nie wrócę nigdy.”

Pourywane zdania, niedokończone myśli, czasem niezrozumiałe, bo dalece odbiegające od trzeźwego spojrzenia na życie. Zdawałam sobie sprawę, że to dopiero początek naszych wspólnych zmagania o wzajemne zrozumienie.

„Ciągłe się boję zaszkodzić wam tym, co piszę. Ale z drugiej strony jestem przekonany, że (słowo nieczytelne) zna doskonale moje «tajemnice». Jestem publicystą. Piszę pod pseudonimem S. Klinga, lub tylko S. K. Piszę do tygodnika «Orzeł Biały», ściśle związanego z generałem Andersem. Jestem uważany za czołowego publicystę tego pisma. Mam swoją pozycję w życiu, skromną, jak musi być w warunkach emigracyjnych. Mam tysiące czytelników w 25 krajach świata, dla których jestem pewnego rodzaju autorytetem, choć nie znają mojego nazwiska. Ludzie mnie szanują i co najważniejsze – ufają. A teraz powiedz mi, co by było, gdybym wrócił? Czy powiesz mi, że ja błędnie wyobrażam sobie, że zostałam zmuszony do «odszczekania» wszystkiego, com głosił, a głoszę to, w co naprawdę wierzę, to «obszczekanie» ludzi, którzy mi ufają? Ponieważ wszyscy, którzy wrócili, właśnie tak robią. Jakie byłyby skutki, gdybym się nie ugiął?”

To było trudne. Bardzo trudne. Bo ja nie wyobrażałam sobie życia gdzieś z dala od swego kraju, z własnej woli. Deportacje, wywózki, to co innego. Ale dlatego, że tam jest swoboda?

Dwie ostatnie strony zapisane były już drobnym maczkiem, jakby miało zabraknąć papieru i roilo się w nich od urywanych chaotycznie porzucanych myśli. Wyławiałam z nich tylko pojedyncze zdania:

„Ja bym chciał uzyskać od swych dzieci 10, czy choć 5 procent zrozumienia dla mojego stanowiska”. „Ściskam Cię mocno i całuję, oczekując z niecierpliwością odpowiedzi na ten list starego, upartego Batka. Zawsze Twój, Ojciec.”

Stary i uparty, tak o sobie napisał. Miałam przed sobą list od wrażliwego człowieka, zmagającego się z samym sobą i ze swoją samotnością. Nie miałam wątpliwości, co powinnam napisać. Tylko jak to wyrazić słowami, by trafiły do jego rozdartego serca?

Długo wczytywałam się w sześć stron zapisanych drobnym, mało czytelnym pismem, zdradzającym

chaos uczuć pełnych wzruszenia i tęsknoty, to znów nieufności i nieskończonej liczby innych psychologicznych zakrętów miotającego się w sprzecznościach samotnego człowieka, rzuconego do tygła zawilej historii jego ukochanego kraju.

– Muszę to przemyśleć, na razie odłożyć, a potem przestudiować jeszcze raz. Dopiero wtedy będę w stanie porozumieć się z człowiekiem tak mi bliskim, a jednocześnie tak dalekim – pomyślałam, gasząc lampkę przy łóżku.

Tego dnia wieczorne wydania prasy przyniosły pierwsze, pełne uznania wiadomości o naszych pokazach. Szybownictwo w jednej chwili zyskało na popularności. W parlamencie nawiązała się debata nad koniecznością rozwoju szybownictwa. Około 20 członków parlamentu wyraziło chęć odbycia lotów pasażerskich na szybowcu. Dostojni goście prosili, by wykonywać z nimi pętle, surowo zabronione przez naszego ambasadora. Zgłaszali się nie tylko ministrowie i ich żony, ale i reporterzy, przedstawiciele Departamentu Lotnictwa Cywilnego, lotnictwa wojskowego itd. Pracowaliśmy ciężko.

Wielkim zaskoczeniem był dla mnie telefon z Warszawy: wywiad dla czytelników *Expressu Wieczornego*. Później matka pokazała mi ten numer gazety: na pierwszej stronie z datą 26 XI 1955 widniał wielki tytuł:

Wanda Szemplińska

opowiada przez telefon z New Delhi Czytelnikom „*Expressu Wieczornego*”

o swym locie na szybowcu z premierem J. Nehru

A cóż ja takiego zrobiłam? Zwykły lot ślizgowy na *Bocianie* sterowanym z drugiej kabiny? Zachowałam sobie jednak tę gazetę na pamiątkę.

Wieczorem 3 grudnia w Narodowym Klubie Sportowym zebrano się na zaproszenie naszej ambasady około 200 osób. Ambasador Grudziński powitał zebranych, a Staszek Skrzydlewski wręczył proporce Aeroklubu PRL przedstawicielom Delhi Flying Club i Delhi Gliding Club. Wieczór urozmaicony został projekcją filmu „Podniebne Zawody” – o Międzynarodowych Zawodach Szybowcowych w Lesznie w roku 1954.

Następne dni wciągnęły nas w wir szaleńczej kampanii propagandowej i, jak to oceniałam później, reklamy dyplomatyczno-publicystyczno-politycznej. Byliśmy oszołomieni wywiadami dla prasy i zaproszeniami na przyjęcia.

Zachowałam też na pamiątkę strony indyjskich dzienników z tytułami:

Polish pilots' thrilling display of aerobatics

Mr. Nehru has ten-minute flight in glider.

Mr. Nehru taken up in glider

Display by world champion Polish fliers – itd.

Zawsze na pierwszej stronie i koniecznie z fotografiami – premiera Nehru w szybowcu i oczywiście naszymi – grupowo i pojedynczo, opatrzone informacjami o nas.

Prasa najbardziej interesowała się nami, dziewczynkami. I niektóre uwagi były nawet interesujące. **The Sunday Standard** pisał: „Twenty three year old Wanda is a lovable young person, who feels, that she would rather fly than waste time talking... Maksi is an attractive, dark haired girl, who came to Poland to realise her dreams of being a pilot...”

Wszystko było wspaniale, składaliśmy wizyty, pozowaliśmy do zdjęć, udzielaliśmy wywiadów i coraz bieglej prowadziliśmy konwersacje po angielsku.

Pan ambasador święcił tryumfy dyplomatyczne, bo przecież to on nas stworzył, to on uczynił z nas „forpocztę chwały polskich skrzydeł”. Tych szybowcowych, oczywiście.

Himalaje

Aż nadszedł dzień niezwykle. Właściciel czterosobowego samolotu *Aero 45*, Francuz Luis de San, zaproponował nam lot nad Himalaje!

Ambasadorowi powiedzieliśmy, że organizujemy „wyprawę badawczą”, by wykonać pomiary meteorologiczne. Wprawdzie nikt nie miał wątpliwości, że przy obecnej bezwietrznej pogodzie o zjawisku zwanym falą nad Himalajami mowy być nie może, ale każdy pretekst był dobry.

Było nas pięcioro, ciągnęliśmy zapalki. Obok pana de San przy sterach siada Edek, z tyłu lecę ja ze Staszkiem. Horyzont zaczyna uciekać w dół, otwierając coraz szerszy widok na obcy naszym oczom krajobraz Indii. Notujemy temperaturę co 500 stóp wysokości. Edek ciągnie *Aero* w górę. Półka małe, niewiele różniące się kolorem. Ani skrawka lasu, tylko gdzieś tam ciemne cętki pojedynczych drzew lub z nagłą pojawia się plama wioski. Wysokość 7000 stóp, widać wierzchołki Himalajów. Staszek chwytając jeden aparat, to drugi i rzuca się od okienka do okienka. Edek i pan de San wydają okrzyki zachwytu. Panorama Himalajów rośnie nam w oczach. Nad szczytami wisi podługowaty placek cienkiej, białej chmury. Może to „soczewka”? Niestety, meteorologia mówi co innego. Fali nad Himalajami można się spodziewać tylko w porze wiosennej. W miarę zbliżania się do gór nasza chmura rozpadła się na szereg postrzępionych cirrusów.

Następnego ranka nasza ekipa pojechała zwiedzać zatopione w dżungli ruiny miasta i kolonię małą, ja zaś zostałam sama w ciszy opustoszałego hotelu. Wydało mi się, że znów jestem nad Himalajami. Tam, w labiryncie górskich drózek i przepaścistych wąwozów zobaczyłam wędrowca z plecakiem na ra-

mionach. Poznałam go. Nawet plecak był ten sam, z którym ojciec opuszczał nas we wrześniu 1939 roku. Od tego czasu go nie widziałam. Aż do tej chwili. Szedł teraz w kierunku szczytów, choć wiedział, że nigdy ich nie osiągnie. Że nie może spodziewać się ani nagród, ani wdzięczności. Że pozostanie emigrantem. Nieznanym, rozpoznawanym przez czytelników tylko z inicjałów pseudonimu – S. K. Lecz ojciec postanowił iść przed siebie po raz wybranej drodze życia. Niczego dla siebie nie oczekiwał. Niczego nie pragnął, prócz jednego – „uzyskać od swych dzieci 10, czy choć 5 procent zrozumienia dla mojego stanowiska” – zdało mi się, że słyszę jego daleki głos.

Już wiedziałam, jak się z nim porozumieć. Byłam nawet pewna, że go nie zawiodę. Wzięłam do ręki pióro i napisałam pierwsze słowa:

„Kochany Batku!”

Słowa magiczne, słowa-zakęcie, słowa-klucz do serc dwojga ludzi, tak sobie odległych i jednocześnie tak bliskich. Dzielili nas odległość, dzieliło nas szesnaście lat rozstania, czas, ten nieubłagany czwarty wymiar, po którym wciąż posuwamy się tylko w jednym kierunku. Lecz te dwa zaczarowane słowa pozwalały mi przemieszczać się swobodnie w rzeczywistej czasoprzestrzeni i zapomnieć o oddaleniu.

A dalej już wszystko było proste. Najpierw moja ręka posłusznie wypisywała niemal kaligraficzne literki, jak w listach do matki. Lecz już pod koniec pierwszej strony przestała nadążać za biegiem myśli. Ręka ślizgała się coraz spieszniej, coraz szybciej gnał ją potok pędzących emocji i uczuć, bazgroliłam tak samo jak ojciec.

Nasza misja w New Delhi została zakończona, jednak ambasador wyraził życzenie, byśmy zorganizowali pokazy w innych miastach, co jednak było mało realne. Po negocjacjach zapadła decyzja – pokazy odbędą się w Bombaju. Szybowce opuściły Delhi 2 stycznia. My mieliśmy polecieć kilka dni później.

A ja liczyłam dni, które upłynęły od wysłania drugiego listu. Jeżeli wyjedziemy, co się stanie z listem od ojca? Czy go odeślą z powrotem do Londynu, czy wyrzucą do kosza?

Codziennie zaglądałam do recepcji, zerkając na stos kopert, lecz segregująca je dziewczyna potrząsała tylko głową.

Wreszcie już w drzwiach hotelu zobaczyłam, że recepcjonistka macha w moją stronę podniesioną w górę kopertą. Bładoniebieską, taką samą jak pierwszą, lecz jeszcze bardziej wypchaną licznymi kartkami. Na środku holu rozerwałam kopertę.

„Kochana moja, najmilsza Jagusi!” – przeczytałam. I ogarnął mnie spokój. Spokój i radość. Byłam

już pewna, że „samotny wędrowiec” znalazł w swej córce to, czego najbardziej pragnął – zrozumienie.

W pokoju Maksy biegła w kółko, zbierając swe porozrzucone rzeczy:

– Wanda, jutro wyjeżdżamy, trzeba się pakować!

– Daj mi spokój! Dostałam list od ojca, muszę go przeczytać!

– Niedługo wracamy, sama mu o wszystkim opowiesz.

– Ojciec mieszka w Londynie, po wyjeździe z Indii nie będę mogła mu nic opowiedzieć – odpowiedziałam spokojnie.

Popatrzyła na mnie zdumiona.

– W Londynie? Nigdy o tym nie mówiłaś.

– Chyba to cię nie dziwi.

Maksi zamilkła, a ja usiadłam wygodnie w fotelu i zagłębiłam się w lekturze listu, ostatniego otrzymanego poza kręgiem cenzury.

„List twój otrzymałem dziś w południe, więc szedł zaledwie trzy dni – czytałam – Wzruszyłaś mnie, pocieszyłaś mnie tym listem. Pocieszyłaś mnie, bo wyraźnie rozumiałaś mnie w sprawie zasadniczej, mianowicie wolności osobistej. Największy i najcenniejszy dowód zrozumienia widzę w twojej zapowiedzi, że nie będziesz mnie więcej namawiać do powrotu. Myślę, że nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo to sobie cenię. Chodziło mi właśnie o to zrozumienie osobiste, jak człowiek człowieka, a nie w sprawach politycznych, czy ustrojowych.”

„My nie możemy strawić pojęcia «amnestii» i robienia nam łaski, bo kraj jest nasz i nasze są do niego i w nim prawa. Na łaskę gwizdżemy, mamy dumę.” – czytałam dalej.

Podkreśliłam te słowa, bo wydawały mi się kluczem do wnikięcia w stan psychiczny mego ojca. Czy istotnie wierzył w to, że zdradzeni przez przyjaciół z czasu wojny i zepchnięci w sferę wpływów „Wielkiego Brata” możemy się łądzić, że „**Kraj jest nasz i nasze są do niego i w nim prawa**”? Czy może nie widzieć ciągłego zagrożenia przez potężną Armię Czerwoną?

Ten polityczny manifest nie przyszedł mu chyba łatwo. Ale widziałam jasno, że teraz traktuje mnie już nie jak małą dziewczynkę, lecz dorosłego człowieka, z którym można dyskutować, bo ma swoje poglądy i rozeznanie w świecie, na którym przyszło żyć nam obojgu.

Bombaj i powrót do domu

Następnego dnia poleciliśmy do Bombaju. W przeddzień pokazów nasze szybowce były jeszcze 400 kilometrów od nas.

– Don't worry – powtarzali nam hinduscy znajomi. Dobre sobie, a montaż, a obloty, a próba poka-

zów?! Poszliśmy spać, by nieco odpocząć, ale o sen było trudno. O piątej rano sekretarz ambasady, pan Sołtysiak, zbudził nas radosną nowiną, że szybowce już są na lotnisku.

Cała nasza piątka, doskonale zgrana, pracowała zgodnie, niemal bez słowa. Dziewczyny trzymały skrzydła, a Staś Wieczorek w wielkim napięciu pilnował mocowania sworzni. Przed południem w ramach próby wykonaliśmy cały program. Edek wykonywał pełną akrobację na *Musze*, a ja, jak zwykle, akrobację podstawową – czyli na zakończenie mnóstwo pętli, niemal do samej ziemi.

Już o piętnastej ludzie zaczęli się schodzić. O szesnastej przedstawiono nas zebrany, a prezes Bombay Flying Club wręczył nam wielką tarczę pamiątkową, znaczki aeroklubu, a mnie i Maksy podarował hinduskie sari. Pokazowy montaż *Jaskółki* poszedł sprawnie i zaczęły się loty. Pierścien ludzi wokół lotniska był chyba nawet gęstszy, niż w Delhi. Oklaski, entuzjazm, tłumy oblegające nasze szybowce co najmniej przez godzinę po zakończeniu pokazów, autografy, istny obłęd.

Mamy jeszcze kilka dni na zwiedzanie Bombaju. I wreszcie powrót. Komfortowy *Super Constellation* pogrąży się w ciemnościach nocy. Przed nami 4500 kilometrów do Kairu, 11 godzin lotu. Afryka wita nas niegościnnie. Lotnisko zasłaniają gęste chmury. Podchodzimy do lądowania, ziemi nie widać. I nagle potężny ryk silników, wylatujemy ponad warstwę mgły. Druga próba – i znów ryk silników... To samo po raz trzeci. Lecimy na inne lotnisko. Jesteśmy w powietrzu już 13 godzin – a przecież trzeba uzupełnić paliwo. Bejrut też nie może nas przyjąć. Wreszcie lądujemy w Lyddzie, w Izraelu.

Potem jeden dzień w Rzymie. Męska część ekipy leci do Polski przez Monachium. Maksy i ja – przez Wiedeń. Bilet do opery kosztuje więcej, niż dwie pary nylonowych pończoch! Zapada jednak decyzja – opera, po raz pierwszy w życiu – „Tosca”! Aria Mario Cavarossiego jest rzeczywiście cudowna!

I wreszcie Warszawa. Dwadzieścia stopni mrozu.

Wanda Szemplińska

Skrócona wersja tekstu wraz ze zdjęciami została opublikowana w numerze 10/2009 Przeglądu Lotniczego Aviation Revue